



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna,
Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Kto tylko czytał jakąkolwiek podróż do Australii, przypomina sobie zapewne opisy osobliwszego rodzaju broni, używanej wyłącznie przez krajowców tamtejszych. Australczycy nie robią łuków i strzał, ani długich włóczni, jak dzicy ludzie, w innych częściach świata zamieszkali; w ojczyźnie ich roślinność jest całkiem odrębna, brak tam giętkiego drzewa, muszą więc sporządzać sobie maczugi, krótkie dzidy, a także i owę broń szczególną, o której wspomnieliśmy wy-

żej, zwaną bumerang. Ma ona kształt wydłużonego półksiężyca, zrobiona z drzewa bardzo suchego i twardego, o brzegach zaokrąglonych. Australczyk ciska ów bumerang ręką z taką siłą i zręcznością, że trafia zwierzynę, zupełnie jakby strzałą, wyrzuconą z łuku i przebija ją śmiertelnie. Co jednak jest najdziwniejsze, broń ta niezwykle, dokonawszy swego, odskakuje w bok, a zarazem w tył się cofa, bieży napowrót i w końcu spada na ziemię tuż u nóg strzelca, który ją może z łatwością podnieść i zabrać.

Jakim sposobem można tej deseczce drewnianej, wygiętej podług pewnego wzoru, nadać ów dziwny ruch, najpierw postępowy, potem wsteczny, tego żaden podróznik nie umie wytłómaczyć dokładnie. Łatwo jednak odgadnąć, że muszą w tem działać jakieś prawa mechaniki, jakieś zestawienia sił, które taką szczególną drogę naprzód już przyrządowi zakreślają.

Rysunek nasz przedstawia mały bumerang, wycięty z karty lub biletu wizytowego. Przy pewnej cierpliwości i wprawie, można dojść do tego, aby go rzucić w podobny sposób, jak Australczycy broń swoją rzucają, to jest tak, ażeby pofrunął naprzód, następnie się zawrócił i upadł niedaleko rzucającego. Należy wziąć przyrządek delikatnie we dwa palce, lub lepiej jeszcze, jeśli kto nosi dość długie paznogie, wcisnąć go pod paznogieć, jak rysunek wskazuje; trzeba przytem koniecznie nadać mu kierunek nieco pochylony, to jest nie równoległy do poziomu, lecz znacznie ukośny. Probując pokilkakrotnie, natrafimy w końcu na pochylenie najwłaściwsze.

Drugą ręką, jak widzimy na rysunku, ciska się mały

bumerang w powietrze za pomocą porządnego szcztka. Jeżeli to wszystko będzie zręcznie i umiejętnie wykonane, przyrządek polecą, kręcąc się w powietrzu, jak kółeczko, zakreślając drogę ukośną, podnosząc się w górę; w pewnej chwili zatrzyma się nagle i pocznie się w tył cofać, w końcu rozumie się upadnie na ziemię. Powodzenie jest zupełne, gdy padnie u nóg rzucającego, lecz to rzecz nie łatwa i nie każdemu się uda.

Posłuchajmyż teraz, jak uczeni ludzie zjawisko to wytłómaczyć usiłują. Gdy trzymamy w ręku wahadło, zawieszony na niem ciężar, waha się zawsze w sposób zupełnie jednostajny, ruch jego zachowuje bez żadnej zmiany tenże sam kierunek. Gdybyśmy wprawili przedmiot jaki w szybki ruch obrotowy, kręciłby się także w jednostajnym kierunku, nie zmieniając położenia swego w przestrzeni. Tym sposobem pewien uczoney Francuz, nazwiskiem Foucault, wykazał dotykalnie obrót ziemi. Ustawił ogromne wahadło, a ciężar jego, dotykając lekko powierzchni ziemi usypanej miałkim piaskiem, pozostawiał na niej ślady. Otóż z biegiem dnia ślady te przesuwały się widocznie, nie dlatego wszakże, by wahadło zmieniło kierunek, tylko, że ziemia pod wahadłem, w skutek obrotu naokoło swęj osi, przesunęła się i miejsce, w pierwszej chwili dotykane przez ciężar, oddaliło się od niego.

Drugi przyrząd podobny nosi nazwę gioskopu. Tam znów koło obraca się podobnie i wedle praw mechaniki nie może zmienić położenia swego w przestrzeni. A jednak w ciągu dnia zmiana położenia koła względem powierzchni ziemi występuje równie wyraźnie, jak w wahadle. Tu także przyczyną jest obrót ziemi, jęj to powierzchnia odmiennie przybiera położenie.

Bumerang silnem pchnięciem wprawiony jest jednocześnie w ruch podwójny, postępowy i obrotowy. Bieży więc naprzód, lecz ponieważ miał położenie ukośne, więc kręcąc się nie może tego położenia zmienić; póki trwa popęd, pchający go coraz dalej, przyrząd mu ulega, lecz gdy ustanie, zatrzymuje się w biegu, a ponieważ drugi ruch obrotowy zachowuje kierunek ukośny pierwotny i pociąga go wstecz, powstaje ztąd owe dziwne cofanie się przyrządu do miejsca, z kąd wyfrunął.

Objaśnienie to łatwiej każdy zrozumie, próbując wykonać doświadczenie, co nie jest znów rzeczą zbyt trudną, zwłaszcza przy pomocy naszego rysunku, który tak dokładnie przedstawia całą sprawę. W każdym razie dziwić się należy, z kąd przyszło do głowy Australczykom, nie odznaczającym się wcale wielką roztropnością, według świadectwa podróżników, urządzić broń tak osobliwszą, tak dowcipną że uczeni europejscy suszą sobie mózgi nad wyjaśnieniem jęj mechanizmu.

Najnowsza powieść Deotymy.

(Dalszy ciąg).

I on też, jako doświadczoney bywalec, umiał sobie odrazu ująć serca niewieście. Przed chłopczykiem stanął w osłupieniu, oświadczając, że jak żyje, nie widział takich cudownych włosów, którym podobne chyba święty Jan Ewangelista nosił, czem wielce pogłaskał macierzyńską dumę Elżbiety;

porównanie wypadło tem szczęśliwiej, że chłopczyk, jakby namyślnie, nazywał się Jasiem. Ludmille przypatrywał się z uporczywością, która ją w końcu aż zmieszała, a wtedy zaczął ją przeproszać, wyznając na swoje uniewinnienie, że mu jęj osoba dziwnie przypomina regentkę Francyi, sławną Blankę Kastylską, którą przed rokiem w Paryżu miał szczęście oglądać; a że cały świat wiedział, jakim Blanka była cudem urody i rozumu, piękna łowczyni zarumieniła się skinęła głową dziękczynnie.

Po takim wstępie, wszystko już poszło gładko. Wprawdzie Rupert stał ciągle przy drzwiach i swoją milczącą posępnością ziębił zgromadzenie, ale stało i kilku innych domowników, z białemi wąsami, z pocziwemi twarzami, a poufałe, czasem i krotochwilne słówka, wtrącane przez nich do rozmowy, dowodziły, że to dom, którego sługi trzymają się nietylko chlebem, lecz i sercem. Przyszła też i stara, ze wszystkich najstarsza, ochmistrzyni, w siwym kożuszku, cała obwiązana białemi chustami; siadła w kątku, trzymając kądziel, i zdaje się, że przez cały czas trzymała ją nieruchomie, tak była nabożnie zapatrzona w pielgrzyma.

Wkrótce weszła dziewczeczka ze srebrną miednicą i nalewką pełną wody pachnącej, zaprawnej lawendą, gdzie pielgrzym z rozkoszą obmył ręce; do ich obtarcia przyniesiono mu ręcznik lniany, bielusięki, z brzegiem prześlicznie wyszywany. Poczem sama pani zamku podała mu czaszę złocistą, nalaną cypryjskiem winem, i wnet inne dziewczki zaczęły wchodzić, niosąc pełne misy i dzbany.

Zaproszono pielgrzyma do stołu; miejsce miał zaszczytne, w samym najwyższym rogu; obie panie usiadły po dwóch stronach, nie same nie jedząc, ale częstując jak należy, to jest aż do przynusu.

Zaczęto od pytania, czy gościowi dozwolone mięso i różne łakocie? Na wielką radość gospodni odpowiedział, że nie jest związany żadnym niezwykłym postem, bo jego pielgrzymka nie była pokutą, ale ślubem uczynionym w nieszczęściu. I powoli zaczął opowiadać swoje losy, jako w niemowlęctwie stracił matkę, jako rósł przy ojcu bogatym i potężnym w zamku, co miał także baszty i wielkie sale. Aż tu jednéj nocy zły sąsiad, odwieczny wróg jego rodu, ubieżał zamek, ojca okrutnie zamordował i włosci zagrabił. Dziecię od sług uratowane tułało się po kryjówkach, szukało pomocy u możniejszych, ale że to było na Mazowszu, pod rządami księcia Konrada, u którego nikt nie mógł dostąpić sprawiedliwości, odepchnięto zabiegi pacholęcia, co nie miało czem opłacić się ani odsłużyć.

Na wzmiankę o księciu Konradzie, obie panie smutnie potrząsnęły głową i zamieniły znaczące spojrzenie.

— Otóż — ciągnął dalej pielgrzym — widział, że u ludzi nic nie wskóram, obróciłem się ku Ojcu Niebieskiemu: ślubowałem, że pójdę aż do Jeruzalem, na intencyą, aby mi kiedyś wrócił ojcowiznę. I poszedłem, i oto już jestem z powrotem. Ja swoje zrobiłem, a teraz — dodał — zobaczymy, czy Pan Bóg zrobi swoje?

Słowa te wyglądały hardo, ale tchnęły ślepem zaufaniem w Opatrzność, co musiało Ją więcej wzruszać niż obrażać.

Ludzie ówczesni naprzykrzali się niebu nieustannemi ślubami, za które wielu z nich wymagało natychmiastowej, doczesnej nagrody. Był to rodzaj targu z niebem, to prawda, jednak czyż możemy go potępiać, kiedy często, bardzo często pomagał? I nie powinien dziwić nas jego pomyślny skutek; dziecko zepsute, ale gorąco kochające, nieraz więcej od ojca wyprosi i wynudzi, niż dziecko roztropne, ale zimne go serca.

Pani Elżbieta nalala gościowi nową czarę, i z westchnieniem rzekła:

— Ach, na ludzi zawsze trudno rachować. Książę Konrad w najlepsze jeszcze gospodarzy, i podobno coraz większe zgorszenia się tam dzieją. Ale Bogu wszechmocnemu wszystko łatwe, On i ze skały żywy zródł wyprowadza.

To powiedziawszy, zawahała się przez chwilę i zamilkła, widocznie wstrzymując na ustach gotowe jakieś pytanie. Była ona wielce ciekawa, (i nie ona jedna, ale wszyscy byli ciekawi), z jakiego rodzaju pochodził podróżny? Według owych dziecinnych wspomnień, musiał ród jego być świetny i szlachetny, cóż, kiedy go nie wymienił ani razu? Czemu? Czy z chrześcijańskiej pokory? Czy owszem z dumy, wstydzącej się terazniejszego poniżenia? W każdym razie, gościnność i poszanowanie dla nieszczęścia nie pozwalały zapytywać.

Tymczasem gość używał posiłku sownie, chociaż bardzo powoli; nie mógł się napiścić z niezwykle dla siebie przysmakami; po jagłach i rzepie, jakimi go najczęściej karmiono w chałupach, dziwnie mu smakowały bieluchne, rozplwające się w ustach kuraki, dzicyzna suto pławiona w korzeniach, a nadewszystko ten prześliczny placek, miodem przekładany, jagodami upstrzony, do którego roboty sama pani zamku się przynależała.

Po krótkiej modlitewce dziękczynnej, panie przeprowadziły gościa w poblizne ogniska, ławę mu wysłały kobiercem, niedźwiedzią skórę podsunęły pod nogi, a same siadły na drugiej ławie naprzeciwko. Przyszedł i kapelan zamkowy, ciekawy wieści z Ziemi Świętej, i przy gościu zajął miejsce na ławie z kobiercem. Nawet mały Jaś, ośmielony pochwałami wędrowca, a jeszcze bardziej ustąpionym sobie słodkim kawałkiem placka, porzucił czarnego Burka, a żeby się bawić z pielgrzymim kapeluszem, dziwowiskiem, wówczas nie często widywanem. Nietylko u nas, ale w całej Europie obywano się czapkami, a jeszcze więcej kapturami, które dla zimniejszych zwłaszcza krajów, niezaprzeczenie były bardzo wygodne. Dopiero pielgrzymi, zachodzący aż do Hiszpanii, zaczęli ztamtąd przynosić osobliwsze owy nakrycie, wynalezione tam przeciw upałom od Afryki wiejącym. Długo jednak ludzie innych krajów nie mogli się z niem oswoić. Złośliwi przyrównywali je do przewróconej miski, i nikt nie śmiał tak ubrać głowy, chyba kiedy wychodził na pielgrzymkę; wtedy kapelusz o płaskiej główce i szerokiem oskrzydleniu stawał się niejako godłem pobożnego wędrowca, i już zdaleka zwiastował go ludzkim oczom, razem z okrągłym, fałdzistym płaszczem bez rękawów, czyli „peleryną”, której sama nazwa już dostatecznie tłómaczy początek.

Nieznacznie w sali przybywało słuchaczy. Wszystkie panienci służebne cichutko się wsunęły, wszyscy domownicy powoli pod ścianami się uszykowali, nawet kilku żołnierzy i kuchcików ze drzwi otwartych wytknęło ciekawe głowy. Przy mroku zapełniającym salę całe to zgromadzenie byłoby pozostało prawie niewidzialnem, gdyby nie odbłyśki ognia, które się czasem różowo zaiskrzyły, to na jakim panczerzu, to na białym fartuszkach, i gdyby nie szmery uwielbienia, podziwu lub strachu, któremi tłum się zdradzał, słuchając pielgrzyma.

Bo też pyszne i straszne opowiadał on rzeczy.

O sławnym sultanie Saladynie, co tak był po swojemu nabożny, że i w podróży, siedząc na wielbłądzie, ba! nawet konno jadąc na bitwę, zawsze czytał i czytał Koran. Wielki przykład dla chrześcijan!

Daliej opowiadał o straszliwej sekcji Assasynów, czy Haszyszynów (czart ich tam wie, jak to wymawiać?), nad którymi już od trzech wieków króluje czarownik ze szczerolotą brodą, mieszkający na górze tak wysokiej... no, jak sto razy Świętokrzyżka. Na jej wierzchu, pomimo wiecznych śniegów, kwitnie ciągle ogród zaklęty, gdzie ów stary obłądnik zgromadza dyabły w kształcie cudnych boginek, i za ich pomocą tak czaruje swoich wyznawców, że zszedłszy z onej góry słuchają go na oslep. Káže im w ogień skoczyć? Dobrze Zabić kogo? Jeszcze lepiej. O, tego zabijania najwięcej; podobno już nawet zakradli się do krajów chrześcijańskich, i we Francji ludzi sprzątają. To tylko szczęście, że ów czarownik nienawidzi wszystkich bez wyjątku, i káže mordować nietylko Franków, ale i Egipcyan, i Arabów i Saracenów — i tak z przejrzenia Boskiego całe to plugastwo samo się pożera.

Mówił także, jako to teraz na Wschodzie łatwo sobie zdobyć królestwo. Korony rosną tam jak grzyby. Trafiałe się, że prosty rycerz pojechał na Krucyatę, i nie wraca, nie wraca. Żona w głowę zachodzi, chce już za jego duszę sprawić nabożeństwo, nie ma czem dzieci żywić, bo jako wdowę już wszyscy ją rabują, a tu zjawia się od męża poseł: „Zono kochana, zabieraj się z dziećmi i przyjeżdżaj co żywo, zostałem cesarzem Trebizondy”.

Na takie słowa pielgrzyma, słuchacze otwierali usta, a z oczu błyskała im gorąca zaszłość, ale kiedy znów zaczął opowiadać, jakie to zęczenia się i męki muszą nieszczęśliwi pielgrzymi znosić od synów piekielnego Mahometa, jakie to w Palestynie są trzęsienia ziemi, która widocznie aż się wzdryga na tyle okropności — jakie to nad Martwem morzem rosną dziwne owoce, które z wierzchu wyglądają nakształt soczystej gruszki, a gdy je nadgryziesz, to ci usta zasypią popiołem — jakie to na końcu świata siedzą przeraźliwe narody, jakoweś Tatary i Mongoły, co jadają dzieci pieczone i myślą całą ziemię zawojować — wtedy wszyscy jęczeli jak w kościele, i nawet Jaś, wypuściwszy z ręki kapelusz, wlepił w pielgrzyma osłupiałe oczęta.

Byłoby to rzeczą niezmiernie ciekawą, gdyby można spisać wszystko, co opowiadał, ale cóż? zrobiłaby się powieść w powieści, jak ów pokoił w pokoju, a wtedy nasza księga dorosłaby do grubości owocnych murów, dzisiaj zaś to już nie popłaca; dziś i ściany i księgi wiotsze, i cierpliwość słuchaczy mniej hartowna.

(d. c. n.)

Za przykładem Chrystusa.

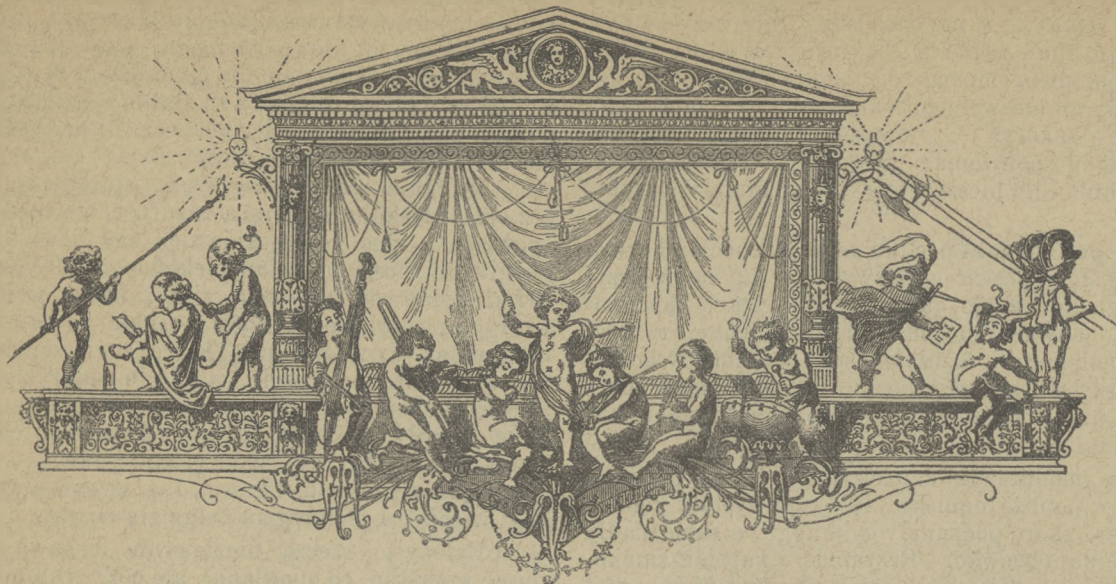
„Puście do mnie maleńkich!” rzekł Chrystus do matek I stojąc pośród grona cisnących się dzieciak, Przytulał do swęj piersi główki czarne, złote, Jednając sobie serca przez tkliwą pieszczotę. Gdy spostrzegł, jak się tłumnie do stóp Jego garną, Rzucił w młode umysły świętych pojęć ziarno, A przemawiał on jakoś poprostu i łatwo, Że go chętnie słuchały i matki wraz z dziećmi. I wnet pojęli wszyscy Chrystusowe prawo: Miłość i poświęcenie mądrości podstawą.

Natalia Sokołowska.

PANCERNIK KARŁOWATY.

Ze wszystkich pancerników najmniejszy i zasługujący na nazwę karłowatego jest gatunek przedstawiony na rysunku. Zwierzątko to dochodzi zaledwie dwunastu lub trzynastu centymetrów długości. Niedziw, że się długo ukrywało przed wzrokiem ludzkim, a gdy je odkrył w r. 1824 przyrodnik amerykański Harlan w pobliżu Mendozy w państwie Rio de la Plata, miejscowi mieszkańcy nie mogli wyjść z podziwienia, bo go nigdy przedtem nie widzieli.

Pancernik karłowaty, w naukowej terminologii zwany *chlamydophorus truncatus*, duzo ma podobieństwa do kreta, tak samo kopie sobie nory głębokie w ziemi i głównie owadami się żywi. Kształtu jego nie potrzebujemy opisywać, rysunek przedstawia z dokładnością wielką, i pancierz z tyłu spłaszczony, jakby ścięty, ztąd nazwa łacińska *truncatus*, i główkę zakończoną spiczastym ryjkiem, i ogonek z pancerza wystający, i puszyste futerko, jasno żółtawe. Też samę barwę mają także łuski pancerza. Widzicie także i oczki, nieduże, lecz wyraźne, niesłusznie też osadnicy przezwali zwierzątko *pichi ciego*, mały ślepiec. I nasz kret niesłusznie o ślepotę bywa pomawiany.



Bracia z daleka i bracia z blizka,

dyalog w dwóch częściach

przez **Natalią Sokołowską.**

MARYŃCIA lat 11.

JOASIA lat 10.

(Rzecz dzieje się w pokoju przeznaczonym do nauki. Dwoje dzieci w głębi. Między pierwszą a drugą częścią upływa dwa tygodnie).

CZĘŚĆ I-a.

(Mańcia układa książki, Joasia wbiega głębią).

JOASIA *(wpadając na Mańcę).*
Mańciu!... Mańciu!... Mańciu!...

MAŃCIA *(usuwając ją zlekką).*
Jestem, Joasiu... czy się pali?

JOASIA *(nie mogąc złapać tchu).*
Bra... a... cisz... ko... wie...

MAŃCIA *(żywo).*
Przyjeżdżają?...

JOASIA.
Za tydzień!

MAŃCIA *(z umiesieniem).*
Co za szczęście!

JOASIA *(skucząc po pokoju).*
Oszaleję z radości!...

MAŃCIA.
Stęskniłyśmy się za nimi!

JOASIA.
Po dziesięciu miesiącach niewidzenia!

MAŃCIA.
Dopieroż się bawić będziemy!

JOASIA *(z żartobliwą wymówką).*
Pójdę w kąć dla Władka!

MAŃCIA *(podobnie).*
Porzucisz mię dla Felka!

JOASIA.
Dosyć, że każda z nas ma swego towarzysza.

MAŃCIA.
Bo też niema podobnych braci na świecie.

JOASIA *(żywo).*
Grzeczni!

MAŃCIA *(podobnie).*

Uprzejmi!

JOASIA *(j. w.)*

Weseli!

MAŃCIA *(j. w.)*

Zgodni!

JOASIA *(j. w.)*

Niema, jak nasi bracia!

MAŃCIA *(j. w.)*

Oddałabym za nich wszystkie znajome dziewczynki!

JOASIA *(j. w.)*

Z dodatkiem wszystkich chłopczyków!

MAŃCIA *(z nagłym przerażeniem).*

Gdyby jednak..

JOASIA *(z żywością).*

Cóż znów za gdyby?...

MAŃCIA *(j. w.)*

Gdyby się oni jednak zmienili?...

JOASIA *(z oburzeniem).*

Jak możesz przypuszczać?...

MAŃCIA *(nieśmiało).*

Bo to widzisz w tych szkołach...

JOASIA *(rozgniewana).*

Wstyd mi za ciebie!

MAŃCIA.

Toż i Leonek był bardzo miłym chłopczykiem, póki się uczył w domu, lecz teraz...

JOASIA *(z wymówką).*

Jak też możesz równać naszych braci z Leonkiem!

MAŃCIA.

Bo mi tak żal tej biednej Rózi, z którą się tak szkaradnie obchodzi ów ukochany przed rokiem braciszek.

JOASIA *(j. w.)*

Ślicznie ich kochasz, gdy o nich wątpisz!...

MAŃCIA *(słodko).*

Masz słuszność, siostrzyczko, wolę zaufać ich pocziwym sercom... Nigdy nas dotąd niczem nie zmartwili.

JOASIA.

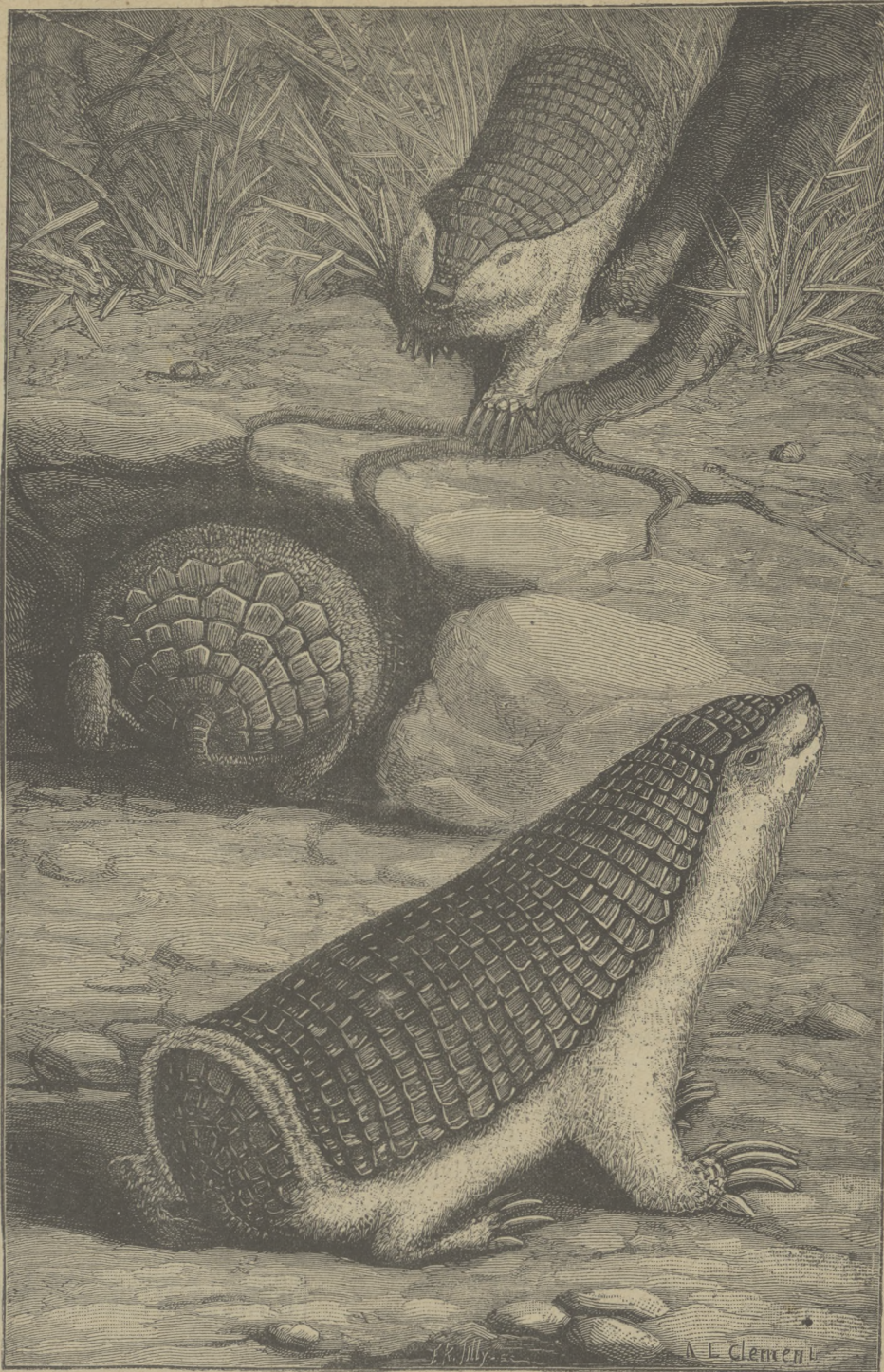
Musisz jednak za karę pomyśleć nad tem, jakby ich przyjąć i ugościć.

MAŃCIA.

Myślmy wspólnie, przypominając sobie, co im sprawiało dawniej przyjemność.

JOASIA *(żywo).*

Wiem już, wiem! Pozwolę Felkowi ubrać wszystkie swoje lalki!



Pancernik karł waty.

MAŃCIA (*podobnie*).
Nauczę Władka tój szydełkowej robótki!

JOASIA (*j. w.*)
Będziemy puszczałi baloniki!

MAŃCIA (*j. w.*)
Będziemy układali bukiety!

JOASIA (*j. w.*)
Będziemy grali w piłkę!

MAŃCIA (*j. w.*)
Przeczytamy Robinsona.

JOASIA (*j. w.*).
Pozwolę mu nawet gotować na mojej kuchence i nastawić ten mały samowar.

MAŃCIA (*j. w.*)
Choćbym miała spruć po nim robotę, pozwolę mu zasnąć do krosien!..

JOASIA.
Cudownie się zabawia!

MAŃCIA.
Niczego im nie pożalujemy.

MOGŁYBYŚMY JEDNAK URZĄDZIĆ JAKIEŚ PRZYJĘCIE.
 PRAWDA.
 PRZYJADĄ WIECZOREM.
 WYBORNA MYŚL!
 MÓW... MÓW!
 WSZYSTKIM DZIECIOM Z OCHRONKI KAŻEMY SIĘ UBRAC ŚWIĄ-
 TECZNIE I STANĄC POD KRZYŻEM; POWITAJĄ ONE NADJEŹDZAJĄCYCH
 PIEŚNIĄ WIECZORNĄ.
 PYSZNI!
 TAM TEŻ ZA POZWOLENIEM MATECZKI USTAWIMY STÓŁ, NA
 KTÓRYM ZNAJDĄ SIĘ RÓŻNE PRYSMAKI.
 MAM DWA SŁOIKI KONFITUR.
 STRYJ MI DAŁ PUDEŁKO CUKIERKÓW.
 GOSPODYNI UPIECZE CIASTEK.
 A MATECZKA DA MIODU I SUSZONYCH OWOCÓW.
 ONI TAK LUBIĄ DZIECI!
 WYOBRAŻAM SOBIE, JAK JE HOJNIE OBDARZĄ!
 RĘCZĘ, ŻE NICZEGO NIE SKOSZTUJĄ!
 ALE ICH ZA TO NA PIERWSZYM KROKU POWITA BŁOGOSŁA-
 WIEŃSTWO.
 PRAWDA!.. NIECHŻE CIĘ UŚCISKAM ZA TĘ MYŚL POCZCIWĄ!
 (PADAJĄ SOBIE W OBJĘCIA).
 WSZYSTKO TO JEDNAK WYMAGA PRZYGOTOWANIA... POŚWIĘ-
 CIMY NA TO WOLNE OD NAUK GODZINY.
 CHOĆBY NOCY NIE DOSPAĆ!
 BAŚKA NIE MOŻE SPAMIĘTAĆ NUTY.
 A FRANEK WYRAZÓW.
 JASIEK NIE MA BUTÓW.
 MARYSIA SUKIENKI.
 MAM TRZY RUBLE..
 A JA DWA...
 MATECZKA NAM NIE ODMÓWI KILKU STARYCH SUKIENEK.
 PANNA SALOMEA PRZYKROI...
 A MY Z JĘJ POMOCĄ POSZYJEMY BLUZY, SPÓDNICZKI I FAR-
 TUSZKI.
 ROZRZĄDZAJ MEMI PIENIĘDZMI!
 NIE MOŻEMY ICH LEPIJĘ UŻYĆ!
 NIECHAJ SIĘ WSZYSCY Z NAMI UCIESZĄ.
 WSZYSTKO ROZDAMY W ICH IMIENIU.

O, DOBRA MOJA SIOSTRZYCZKO!
 NAPRZÓD WIDZĘ ZDZIWIENIE POCZCIWYCH NASZYCH CHŁO-
 PCÓW, GDY IM DZIECIAKI DZIĘKOWAĆ ZACZNĄ.
 CO TO BĘDZIE ZA RADOŚĆ!
 WOLĘ TO OD NAJPIĘKNIEJSZEGO ALBUMU!
 OBEJDZIE SIĘ MOJA LALKA BEZ MEBLI.
 POPROSIMY TEŻ PANI ANNY, ŻEBY NAM MNIEJ PRZEZ TEN
 CZAS PAMIĘCIOWYCH ZADAWAŁA ĆWICZEŃ.
 RĘCZĘ, ŻE NAM WE WSZYSTKIEM POMOŻE.
 TAK LUBI, GDY SIĘ ZAJMUJEMY OCHRONKĄ.
 POWTARZAJĄC, ŻE TO SĄ NASI, MŁODSI TYLKO BRACIA I SIO-
 STRZYCZKI.
 WYOBRAŻAM SOBIE, JAK JĘJ WŁADEK DZIĘKOWAĆ BĘDZIE.
 NIE BĘDZIE MÓGŁ TEGO DOKONAĆ, GDYŻ MAMA OBDARZA
 NAS CZTERMA TYGODNIAMI WAKACYJ, KTÓRY TO CZAS NAUCZYCIEL-
 KA NASZA MA SPĘDZIĆ U CHORĘJ SIOSTRY.
 SZKODA!
 WIELKA SZKODA... ALE...
 CO ZA ALE?
 BĘDZIEMY MOGLY SWOBODNIE CAŁY TEN CZAS SPĘDZIĆ Z BRA-
 CISZKAMI.
 PRAWDA!.. ALE ZANADTO MAMY ROBOTY, AŻEBY TAK DŁUGO
 GAWĘDZIĆ.
 IDŹMY WIĘC DO MATECZKI.
 RECZĘ, ŻE NAM DUŻO OD SIEBIE DOŁOŻY; MÓWI ZAWSZE, ŻE
 PO TO JĘJ BÓG DAŁ, ŻEBY ROZDAŁA. (WYCHODZĄ GŁĘBIĄ).
 koniec części 1-jej.

PIERWSZA WYCIECZKA MYŚLIWSKA

MŁODYCH OSADNIKÓW AMERYKAŃSKICH,
przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

Wkrótce też w rzeczy samej zaczęło się ściemniać co-
 raz więcej, gdy Janek zapuścił się w gęstwinę leśną, otoczy-
 ły go nagle takie ciemności, że o parę kroków przed sobą
 drogi dojrzeć nie mógł. Ścieżyna leśna wiała się w zakrętach
 rozlicznych, cienie drzew wysokich osłaniały ją całkowicie,
 chociaż księżyc świecił na niebie; blade jego promienie
 łatwo przebić się mogły przez gęste liście drzew wyniosłych
 i rozłożystych.
 Nie wyobrażajcie sobie, czytelnicy, ażeby syn osadnika,
 pomimo tak młodego wieku, doznał z tego powodu jakiegoś
 nadzwyczajnego wzruszenia, choćby tylko graniczącego
 z obawą. Niejeden chłopak starszy od niego, zamieszkały

(d. n.)

w kraju cywilizowanym, truchlałyby na samą myśl podobnej samotnej nocnej wycieczki. Janek przechodził przez puszcę leśną, pełną rozmaitych dzikich, drapieżnych zwierząt; nie dość na tem, w tych gąszczach mogli się także wałęsać krajowcy czerwonoskórzy, niemniej straszni od dzikiego zwierza. Chłopak znał doskonale te wszystkie niebezpieczeństwa, z którymi się mógł spotkać w tej wędrowce nocnej, a jednak postępował tak śmiało i spokojnie, jakgdyby się przechadzał po dziedzińcu ojcowskiej osady. Nie zapominajcie, że czuł na ramieniu nową strzelbę, nabitą nalezycie, to mu większej jeszcze dodawało odwagi.

Cisza i samotność każdego usposabia do zadumy, i po głowie Janka snuły się myśli rozmaite, lecz wcale go nie pozabawiały zwykłej uwagi i baczności. Syn osadnika od lat najmłodszych był przyzwyczajony do czuwania nad sobą, to też wyteżał wzrok i słuch, kroczył z taką ostrożnością, jak Indyanin, przemykający się w ślad za nieprzyjacielem. Nie mógł wprawdzie wzrokiem przebić ciemności, lecz pilnie nasłuchiwał, przystawając co chwila i oglądając się na wszystkie strony, żaden szmer najłżejszy nie mógł ująć jego uwagi.

Już przebył tym sposobem bez szwanku trzecią część drogi, gdy nagle przekonał się, że jakaś istota żyjąca postępuje z nim i coraz więcej zbliża się do niego. Zatrzymał się i obejrzał poza siebie z największą uwagą, nic jednak dopatrzeć nie mógł, noc ciemna otaczała go dokoła. Słuch jednak go nie mylił, coraz wyraźniej odzywało się stąpanie po ścieżce stóp jakichś, czy ludzkich, czy zwierzęcych, tego rozróżnić nie mógł. Położenie młodego chłopca było bardzo przykre, wiedział, że niebezpieczeństwo się zbliża, lecz jakie, tego żadną miarą odgadnąć nie zdołał. W pierwszej chwili przypuszczał, że Indyanin go wytropił w lesie i skrada się do niego; kroki były niezmiernie ciche, ostrożne, tylko słuch przenikliwy Janka potrafił wysledzić ten szmer przygłuszony, a ta okoliczność zdawała się mniemanie jego potwierdzać, dzicy zazwyczaj stąpają cicho, jak koty.

Chłopak nie stracił głowy i przygotował się odważnie na spotkanie każdego niebezpieczeństwa. Przedewszystkiem pochwycił strzelbę w obie ręce, poprobował cyngla, przekonał się, że wszystko jest w porządku, potem stanął na środku ścieżki tak nieruchomo, jak posąg z kamienia. Głowę miał zwróconą w stronę, z kąd szmer kroków dawał się słyszeć, lecz starał się nasłuchiwać i ze stron innych chwytając szelest najłżejszy. Przez długą chwilę zaległo tak głębokie milczenie dokoła, że chłopak nic a nic dosłyszeć nie mógł, a i nie widział także nic zgoła.

Następnie nasz Janek znowu naprzód poskoczył, zwa-wo, biegnąc prawie, przebył ze sto kroków i powtórnie się zatrzymał, wzrok i słuch wyteżając bacznie na wszystkie strony. Tym razem niedarmo się wysiłał, nie tylko usłyszał szelest wyraźniejszy, lecz i obaczył nareszcie, co mu zagrażało. Ku wielkiemu jego podziwieniu, też same kroki, które przedtem słyszał za sobą, z tyłu, teraz ozwały się ze strony przeciwnej, to jest przed nim, a pomimo ciemności obaczył najwyraźniej na drodze w niewielkim oddaleniu postać czworonożnego zwierzęcia. Na szczęście było to właśnie w miejscu odsłoniętym nieco, promienie księżyca jasno oświeciły przestrzeń ogołoconą z drzew i krzewów, przez którą zwierzę przechodziło w tej chwili.

Z pozoru wyglądało na dużego psa, tułów jednak miało nieco dłuższy i ogon puszysty, spuszczonej do ziemi. Zwolna i ostrożnie zbliżało się do Janka, który w niem poznał odrazu drapieżnego kota, właściwego Ameryce Północnej i zwanego tam zwykle panterą, a także pumą lub kuguarem. Zwierz ten coprawda dość rzadko się rzuca na dorosłych ludzi, lecz chłopak dwunastoletni jest dlań bardzo pożądanym kąskiem, a ten oczywiście miał nieklamną ochotę schrupać naszego Janka na wieczkę, przeczuwał zapewne, że ma przed sobą chłopaka porządnie wypasionego.

— Ho ho! nie wyobrażaj sobie, bratku, że będziesz miał łatwą sprawę z mną — szepnął Janek, zaciskając usta i potrząsając głową — szkoda wielką, że tak ciemno, w biały dzień dałbym ja ci radę w jednej chwili; ale poczekaj, próbujemy się, nie myślę wcale dawać za wygraną.

Puma krążyła zwolna dokoła chłopaka, zakreślając koła coraz ciaśniejsze, czekała cierpliwie aż zbliży się o tyle, by mogła jednym potężnym susem dosięgnąć swej ofiary. Takim sposobem zwykle wszystkie koty rzucają się na zdobycz. Janek znał doskonale obyczaje tego drapieżnego zwierza, słyszał o niem szczegółów niemało od ojca, a i sam przed kilku tygodniami uczestniczył w polowaniu, na którym ojciec zastrzelił pumę. Ale to było w dzień, gdyby teraz słońce świeciło, nie wątpiłby ani na chwilę, że trafi w samo serce zwierza, lecz strzał jego wśród nocy nie mógł być tak celny i pewny.

— Nim hultaj zbliży się o tyle, żeby zdołał jednym susem spaść mi na plecy, postaram się go kulką poczęstować — mówił nasz Janek, cisnąc strzelbę swoją w dłoniach — nie dam mu się przecież tak łatwo schrupać, jak bezbronna myszka kotowi.

A rozmawiając tak sam ze sobą, chłopak nie stał już teraz na miejscu, lecz także postępował gzygzakiem, kręcąc się tu i ówdzie na polance, usiłując tym sposobem utrudnić drapieżnikowi jego zadanie. Gdyby się nie ruszał, puma prędko bardzo potrafiłaby go pochwycić w zasadzkę i dosięgnąć skokiem zabójczym. Janek wiedział dobrze, jak w takim razie roztropność nakazywała mu postępować; przeska-kiwał zwinnie, to na prawo, to na lewo, potem znów z szybkością strzalał puszczał się naprzód i przebiegał jednym tchem kilkadziesiąt kroków w prostym kierunku.

Już po raz trzeci wycoczywał po takim gwałtownym biegu, gdy ujrzał przed sobą ów most, a raczej pień drzewa, rzucony ponad przepaścistym strumieniem, o którym wspominaliśmy wyżej. Tu gęstwina bardzo była przeredzona, drzewa stały samotnie w odstępach znacznych jedne od drugich, księżyc oświecał tak jasno całą tę przestrzeń na wybrzeżu, że najdrobniejszy przedmiot widać było bardzo wyraźnie.

Nim Janek wstąpił na mostek, wprzód z bacznością wielką rozejrzał się dokoła, bystrym wzrokiem zbadał całe wybrzeże, słuchem chwytając każdy szelest podejrzan. Widział przed sobą, jakby na dłoni, wszystkie pnie drzew wyniosłych, rosnących po obu brzegach strumienia. Ciszę głęboką przerywał tylko szmer wody, wtórował mu ten odgłos nieokreślony, złożony z szumów przeróżnych, który zawsze odzywa się z puszczy leśnej wśród nocy.

— Nie mam najmniejszej ochoty nocować tu w lesie — rzekł Janek, wstępując śmiało na pień drzewa, tworzący most ponad przepaścistym strumieniem i zważając się naprzód, by jaknajprędzej na drugi brzeg się wydostać — radbym bardzo stanąć już w domu, ale jeżeli jejmość pantera koniecznie pragnie znajomość zabrać ze mną, gotów jestem w każdej chwili spotkać ją oko w oko, chociaż...

Przerwał nagle, zaledwie kilka kroków uszedłszy na chwiejnym moście, gdyż ujrzał niespodzianie panterę tuż przed sobą; zwierzę wynurzyło się nagle z ciemności, zalegających małą kępę drzew po drugiej stronie strumienia i także wbiegło na most, postępując jakby na spotkanie chłopca.

Nie szło jednak krokiem zwyczajnym, przykucnęło na moście, pełzało prawie, schylone i przytulone do pnia drzewa, wywijając ogonem i mrużąc groźnie; obyczajem kotów gotowało się do skoku, chwila stanowcza się zbliżała.

Janek cofnął się zrazu, chciał zeskoczyć z mostku i stanąć na pewniejszym gruncie, lecz w tem samem mgnieniu oka rozmyślił się inaczej; starał się tylko umocnić o ile możliwości na nogach, pochwycił strzelbę, wymierzył prosto w łeb zwierza, wybierając miejsce środkowe pomiędzy dwójgim błyszczących ślepi, pocisnął cyngiel i wypalił w chwili właśnie, gdy drapieżne stworzenie podrywało się do skoku.

Trafił wybornie, pantera jednak dała potężnego susa, nie poskoczyła przed siebie, lecz uniosła się w powietrze w kierunku pionowym na pięć lub sześć stóp wysokości, ryknęła wściekle, potem znów na most spadła, teraz już bezwładna; przez chwilę jeszcze wstrząsały nią konwulsyjne ruchy, przygłuszone mrużenie i chrapanie dawało się słyszeć raz po raz, aż wreszcie ciężkie cielsko potoczyło się w głąb

strumienia i plusk wody oznajmił, że przejście na moście już wolne.

— Masz za swoje! — wykrzyknął Janek uradowany — nie będziesz już, hultaju jakiś, zachodził drogi spokojnym chłopcom, śpieszącym na wieczerę do domu...

I znowu urwał nagle, gdyż niemiłe, groźne mruczenie ozwało się tuż za nim. Chłopak się odwrócił i nie dalej jak o dwanaście kroków za sobą spostrzegł drugą panterę, zupełnie podobną do pierwszej. Domyślił się odrazu, że go śledziła zgodna para tych drapieżnych zwierząt, jeżeli zabił samca, teraz wierna samica pomścić go zapewne pragnęła. A biedny Janek nie miał jeszcze czasu nabić na nowo strzelby!

IV.

Rodzinny dom Janka.

Żadne, najstraszniejsze nawet niebezpieczeństwo nie mogło pozbawić przytomności takiego chłopca, jak Janek Gedney. W jednym mgnieniu oka zebrał myśli i z szybkością błyskawicy przeskoczył z niepewnego mostka na grunt stały, czuł, że może już nie zdążyć nabić strzelby, a jednak nie wyrzekł się wcale obrony, postanowił w takim razie walczyć za pomocą kolby z drapieżnym zwierzem. Stanąwszy na brzegu strumienia nie stracił ani chwili czasu i zaczął natychmiast strzelbę nabijać jak mógł najspieszniej, zarazem przypomniał sobie, że ma za pasem nóż myśliwski i przezornie włożył go w zęby. Wszystko to wykonywał z chyżością nadzwyczajną, lecz zarazem i z krwią zimną. Może się to wyda rzeczą zaskakującą czytelnikom jego wieku, a nawet i starszym, gdyż niebezpieczeństwo było w rzeczy samej ogromne, a położenie chłopca prawie rozpaczliwe. Nie zapominajmy jednak, że przyzwyczajenie staje się, jak to mówią, drugą naturą. Syn osadnika, urodzony i wychowany wśród dzikiej puszczy, od lat najmłodszych przywykł do niebezpieczeństw podobnych, i przywykł także ufać Opatrzności, która go dotychczas od nich broniła.

Wiedział on doskonale i rozumiał, jak nierówną walkę ma podjąć z rozwścieczonym zwierzęciem, jak małą była nadzieja powodzenia, gdyby mu się nie udało nabić broni, nie stracił wszakże głowy, rąk nie opuścił, nie struchlał nawet, Janek był prawym synem osadnika amerykańskiego. Pantera mniej roztropnie postępowała; może zanadto pewną była siebie i słabości przeciwnika, dość, że nie śpieszyła się wcale, postępowała krokiem bardzo powolnym, jakby ociągając się i namyślając, a zamiast rzucić się gwałtownie na chłopca, co stanowiło największe dla niego niebezpieczeństwo, ona przednie łapy oparła na krańcu mostka, szyję wyciągnęła, łeb pochyliła i mrucząc głucho zaglądała w głąb parowu, na dnie którego huczał potok. Czula małżonka usiłowała zapewne dojrzeć tam szczątków towarzysza. Osobliwszą przytem przybrała postawę, przysiadła na tylnych łapach, ogon nieruchomo przytuliła do ziemi, kark nastroszyła, cielsko jej wyciągnięte wyglądało w tej chwili niezwykle wydłużone, przy świetle księżyca dziwną, fantastyczną prawie przybierało postać.

Janek tymczasem, nie spuszczać z oczu zwierzęcia, nabijał broń żwawo i zręcznie; gdy pantera opierała łapy na moście, on wyjmował rożek z prochem i sypał go na panewkę. Gdy spostrzegł ociąganie się straszego zwierzęcia, nadzieja wstąpiła w jego serce, którego odwaga nie opuściła

ani na chwilę. Nasypawszy właściwą ilość prochu, wpuścił kulkę, dopełnił reszty przygotowań, wreszcie podnosząc strzelbę nabitą, odetchnął głęboko, już teraz nie był bezbronny wobec groźnego przeciwnika, mógł śmiało stawić mu czoło. W ostatniej chwili, w skutek zbytniego pośpiechu, hubka wypadła mu z ręki, chociaż ta nie drżała wcale. Chłopak schylił się, podniósł ją zręcznie i śpiesznie, następnie dokończył nabijania strzelby. Teraz dopiero o mało głowy nie stracił z radości, lecz wnet się upamiętał.

(d. c. n.)

SZABADA.

(Dla Gołąbki pocztowej wytworzył Alchemik).

Pierwszy drugi na pewno nie stary,
Drugi trzeci ogłasza treść kary,
Pierwszy wykrzyknik, zaimek drugi,
Trzeci kres czasu dość nawet długi,
Całość w radości każdy obchodzi,
Oby wam korzyść przyniósł, o młodzi!

ZAGADKA GŁOSKOWA (S. Z.)

A A A
D G I K K
M N O R R
S T W W Y
A A A

Z tych liter rozsypanych dobrać sześć wyrazów pięcigłoskowych, na krzyż ułożonych. Znaczenie wyrazów w kierunku od góry do dołu: 1. Roślina. 2. Księżna bajeczna. 3. Miasto starożytne. W kierunku poziomym. 1. Naród średniowieczny. 2. Królowa polska. 3. Miasto gubernialne w kraju naszym.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 1-go.

Zagadki głoskowej:

Wanda — Warta — Walia — warga — ważka — walka.

Łamigłówki geograficznej:

W A R S Z A W A
m A z o w s z e
g a R w o l i n
p r a S n y s z
g r o d Z i s k
n i e s z A w a
s e r a j e W o
b u ł g a r y A

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.), — Najnowsza powieść Deotymy (c. d.). — Za przykładem Chrystusa wiersz p. Natalią Sokołowską. — Pancernik karłowaty (z drzew.). — Bracia z daleka i bracia z bliska, dyalog w dwóch częściach p. Natalią Sokołowską. — Pierwsza wycieczka myśliwska młodych osadników amerykańskich, przekład z angielskiego (c. d.). — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** O Janku psotniku, wiersz p. Gabryelę Jasińską (z drzew.). — Sumienna Stasia p. Helenę Bojarską. — Mały piaskarz, p. Bronisławę Kuczyńską. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzyńka do listów. **Dodatek książkowy:** Dzieci Klanu, powieść przez Joannę Hering (p. Adams-Acton) przełożona z angielskiego przez T. P.



O JANKU PSOTNIKU.

— Rybko, moja rybko,
Nie mknijże tak szybko!
Nastawiłem moję sieć,
Radbym cię w niej, rybko, mieć;
Choć wiem, że tam w strumyku
Różnych cudów bez liku,
Choć wiem, że tam rybki lśnią,
Srebrne fale w słońcu drżą,
Ja nastawiam moję sieć,
Radbym cię w niej rybko mieć.
Ptaszku, mój słowiku!
Tylu was, bez liku,
Wlećże w moję klatkę, wleć,
Takbym cię w niej pragnął mieć;
Choć wiem, że tam w ogrodzie
Lubisz śpiewać o chłodzie,
Choć wiem, że ci domem świat,
W klatkę bym cię zamknąć rad.
I wy, śliczne motyle,
Siądźcież choćby na chwilę
W tę jedwabną moję sieć,
A wnet wszystkie będę mieć.
Potem, moje motylki,
Powbijam was na szpilki,
Tylko wlećcie w moję sieć,
Bo was wszystkie pragnę mieć.
Tak Jaś śpiewał i robił,

Rybki w wodzie wciąż łowił,
Łapał ptaszki do klatki,
A motyle do siatki,
Aż jednego dnia z rana,
Usłyszała to mama,
Zawołała chłopczyka
I... na strychu zamyka!
Mówiąc:—Choć wiem, mój Janku,
Że ci lepiej na ganku
I w tym ślicznym ogrodzie,
Niż na strychu o głodzie,
Siedź tam sobie, kochanku,
Od wieczora do ranku!
Posiedziawszy w zamknięciu,
Może przejdą ci chętka
Łapać rybki na wędki,
Robić krzywdę ptaszęciu!
Wstrętna twoja zabawa!
To też Boże ją prawa
Karcą w swojej mądrości.
Bo kto w bezmyślnej złości
Krzywdzi słabsze istoty,
Może w życiu też kiedy
Doznać krzywdy i biedy.

Gabryela Jasińska.

Sumienna Stasia.

— Alinko, masz jabłuszko — rzekła mama, podając swęj starszêj córeczce śliczne, rumiane jabłko.

Aliunka wzięła owoc z rąk mamy, a podziękowawszy za ten ulubiony przysmak, zajądać zaczęła z apetytem.

— A ja, mamuniu, nic nie dostanę? — zapytała młodsza Stasiunia.

— Nie dostaniesz, boś była niegrzeczna — odrzekła mama.

Stasia płakać zaczęła i nie przestała napierać się, ale mama nie zważała na to wcale, bo jak raz co postanowiła, to już tak być musiało.

— Alinko — rzekła znów mama po chwili — chodź do mego pokoju, weź bawełnę i szydełko; chciałabym zacząć ci wszywkę dla babci na imieniny.

To powiedziawszy, mama wyszła, a Alinka po chwili podążyła za nią. Tymczasem Stasia nie przestała płakać i szlochać.

Obecną temu była stara Antoniowa, dawna piastunka Stasi, i widząc swęj ukochaną dziewczętkę tak zasmuconą, wszelkimi sposobami starała się ją uspokoić. Wreszcie, nie mówiąc nic nikomu, wyszła na miasto i za swoje własne pieniądze kupiła śliczne, czerwone jabłuszko.

— Masz, moja pieśczołko — mówiła wróciwszy niedługo — masz, moje kochanie, takie samo jabłuszko, jak to, co Alińcia dostała od mamy; oho! myślę nawet,

że to ładniejsze, a może i smaczniejsze; nie płacz tylko, moje najdroższe złoteczko, bo i niani na płacz się zbiera.

Stasia serdecznie Antoniowej podziękowała, nie wiedziała już nawet, jak jej okazać swoją wdzięczność, ale jabłuszka przyjąć nie chciała, mówiąc:

— Nie, moja nianiu, nie wezmę jabłuszka, kiedy mi sama mamusia nie dała.

— Alboż to mamusia ma zaraz wiedzieć o tem?

— To i cóż? choćby się mamusia nie dowiedziała, to Bóg wiedziałby o tem, bo On przecież wszystko wie, widzi i słyszy; muszę też słuchać mamusi, bo inaczej Bóg dobry gniewałby się na mnie i nie błogosławiłby mi w życiu.

Antoniowa zawstydzona się bardzo, że sama nie pomyślała o tem, nie namawiała też dłużej Stasiuni do zjedzenia jabłuszka, a gdy w jakiś czas potem mama dowiedziała się o wszystkim, tak córeczkę pochwaliła, tak serdecznie ucałowała, że stokroć jej to było przyjemniejszem, niż żeby była nie wiem ile najpiękniejszych i najsmaczniejszych zjadła jabłuszek.

Helena Bojarska.

MAŁY PIASKARZ,

opowiedziała BRONISŁAWA KUCZYŃSKA.

(Dokończenie).

Władys zerwał się z okna jak szalony i chciał pędzić na dół, ale powstrzymała go pani D. i posłała Magdalenę, która także dostrzegła biednego, skrzywdzonego chłopczynę i biegła o tem powiedzieć. W bramie dogoniła go i zawróciła, mówiąc, żeby szedł na górę.

— Jakto? czyż to już potrzeba piasku, wszak jeszcze nie minął tydzień od tej chwili, kiedy... — i pokiwał smutnie głową.

— Nie o piasek tym razem chodzi, lecz o to, że cię nasz Władys chce koniecznie przeprosić za to, że się tak źle z tobą obszedł wtedy; codzień cię przez okno wygląda i bardzo żałuje tego, co zrobił. Chodź więc, chodź na górę, bo i pani moja chce cię poznać.

Józio ze zdziwieniem słuchał tego, co mówiła Magdalena, dziwnie mu jakoś było, że ten panicz, taki ładny, tak pięknie ubrany i tyle książek posiadający, będzie go przeproszał. Nie przyzwyczajony był do tego, żeby go kto złodziejem nazywał, ale także i do tego, aby z państwem o czem innem niż o piasku rozmawiać i przeprosin słuchać. Szedł jednak posłusznie za Magdaleną, niosąc w jednej ręce pełny koszyczek, a drugą rozgrzewając sobie przez tarcie o swoje biedne połatane ubranie.

Gdy weszli do kuchni, Władys czekał już tam na niego i zbliżywszy się szybko, wziął go za zmarznąłą rękę i ściskając ją w swoich, mówił:

— Czy przebaczysz moje niegodziwe słowa, mój drogi? Mnie bardzo przykro i smutno, gdy sobie przypomnę, co ja ci wtedy powiedziałem. Chodź do pokoju, podaruję ci książkę, parę kajetów, piór i ołówek, chodź, mój drogi. Jak ci na imię?

— Józio!

— A więc chodź, Józio, a i mamusia moja chce z tobą porozmawiać.

— Paniczu, ja się wcale nie gniewam, ale zostać nie mogę, bo fura odjedzie daleko i pan gniewać się będzie. Ja nie chcę czasu marnować, bo biorę piętnaście groszy za roznoszenie piasku.

Na te wyrazy weszła pani D., która umyślnie nie chciała przeszkadzać Władysiowi, lecz z sąsiedniego pokoju słyszała wszystko, zbliżyła się do Józia, pogłaskała po gładko uczesanej głowie i rzekła:

— Mój kochany chłopcze, jeżeli na prawdę się na mego syna nie gniewasz, to przyjdźże jutro, bo to właśnie niedziela. Słyszałam, że masz matkę, a ojciec, czy żyje także?

— Nie, proszę pani, ojciec w tym roku umarł, a matka oprócz mnie ma jeszcze dwoje młodszych, Marynię i Antosia. Marynia już chodzi do ochronki, ale Antoś, to proszę pani takie jeszcze jest maleństwo, że go ledwie od ziemi widać, a taki dobry i grzeczny. Ale ja tu proszę pani opowiadam o nich, a tam pewno fura już odjechała, muszę lecieć.

Władys bardzo był zasmucony, że Józio odchodził już i patrzył błagalnie na swoją mamusię, aby go zatrzymała, ale pani D. przyznała, iż nie powinien obowiązku swego zaniedbywać, choć żał jej go było bardzo, bo mróz był srogi, a on tak niedostatecznie od zimna zabezpieczony. Tak jej się podobał ten chłopczyzna, spojrzenie miał takie poczciwe i wesołe, taki malec, a już ciężko pracował i to za piętnaście groszy. Westchnęła nad dolą wielu podobnych biedaków, ale nie zatrzymywała go dłużej, zawiąawszy tylko na szyi chłopaczka gruby, ciepły szalik i poleciała raz jeszcze, aby przyszedł nazajutrz ze swą matką.

Władys chciał koniecznie wsunąć mu w rękę przygotowaną paczkę, ale on śmiejąc się podziękował i powiedział, że zabraliby mu ją gdzie z piaskiem, woli więc zabrać jutro te skarby, choć radby bardzo jaknajprędzej czytać z tej książki i pisać na owych kajetach.

Państwo D. byli właścicielami domu, w którym mieszkali, a prócz tego pan D. był urzędnikiem w jednym z prywatnych biur; żyli dostatnio, lecz i o drugich pamiętali także, to też gdy pani D. opowiedziała mężowi o zdarzeniu zaszłym w ich domu, ten oświadczył się z chęcią dopomożenia czynnie chłopcu i jego matce, jeżeli ta okaże się uczciwą kobietą.

— Mały jeden pokoić na górze jest wolny — rzekł — i można będzie jej go dać, a ona za to bieliznę upierze, chłopiec, jeżeli rzeczywiście do nauki ma ochotę, to się będzie z Władysiem uczył teraz, później pomyśli się o jego pokierowaniu.

Łatwo sobie wyobrazić radość matki Józia, gdy usłyszała to wszystko z ust pani D., przyszedłszy nazajutrz. Wiedziała jak bardzo nauka jest potrzebna, bołała nad tem, iż biednemu jej synowi nieszczęsny los nie pozwalał dalej się uczyć, sama nie była w stanie nic na to poradzić. Teraz, gdy nieprzewidziane zdarzenie taką zmianę spowodowało, była nad wyraz szczęśliwa i nie wiedziała nawet, jak dziękować państwu D., którzy z taką ochotą i dobrocią w pomoc jej przychodzili. Wi-

działa już w myśli syna swego porządnym rzemieślnikiem, rozumnie idącym przez życie i dającym opiekę młodszemu swemu rodzeństwu. Do nóg rzucać się chciała dobroczyńcom swoim, czemu naturalnie państwo D. sprzeciwili się, ponieważ zupełnie nie chodziło im o podziękowanie, tylko o zadowolenie własne, iż przychodzą komuś z pomocą. Ponieważ uczciwa kobieta podobała im się bardzo, więc radzi byli, iż tak się stało.

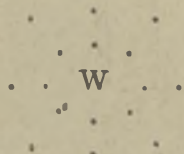
A Władysław jaki był rad i jak to Józio i matce jego okazywał. Obiecywał, iż mu we wszystkim będzie pomagał, i że wszystkie zabawki dzielić z nim będzie; mówił też, że tatuś mu obiecał cały warsztat stolarski urządzić, więc będą razem pracowali pod przewodnictwem tatusia, który kiedyś uczył się stolarki. Cóż to będzie za uciecha, jak zrobią jakiś stolik lub wózek; układał także sobie, iż będą robili zabawki dla Maryni i Antosia i że tamte dzieci będą w niedzielę do nich przychodzili.

Po kilku miesiącach okazało się, iż wybór Józia na towarzysza dla Władysława był doskonały: zdolny i pracowity chłopiec miał przytem energią i wytrwałość, czego dotychczas pieszczonemu jedynakowi brakowało trochę, przykładem jego zagrzewany coraz bardziej nabierał tych przymiotów. I w nauce zrównali się dość prędko, choć Józio znacznie mniej umiał, lecz tak się starał i pracował z pomocą p. Jadwigi, która pół godziny umyślnie przez jakiś czas mu poświęcała, aby chłopców później razem uczyć.

A jakie piękne już robią stolarskie rzeczy! Magdalena pudełko z brzoźowego drzewa dostała, Marynia komódkę dla lalki, Antoś stołeczek mały, a teraz coś pięknego dla panny Jadwigi robią. Państwo D. z pewnością nie pożałują dobrego uczynku swego, a nawet wdzięczni sobie i szczęśliwemu trafowi będą, bo syn ich widocznie korzysta pod każdym względem w towarzystwie porządnego chłopca, dzieli się z nim wszystkim, co tylko otrzyma i zawsze jest bardzo dobrym dla swego kolegi, który długoby jeszcze był musiał piasek roznosić i pewno nie byłby nigdy tem, czem z pewnością będzie.

Łamigłówek gwiazdka.

(Ułożył Wróblek z nad Wisły).



Ułożyć w kształcie gwiazdki cztery wyrazy pięciogłoskowe z literą środkową W. Znaczenie wyrazów: 1. Rzeczownik. 2. Zwierz. 3. Imię męskie. 4. Miasto w kraju naszym.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 1-go.

Łamigłówek zgłoskowej:

KoS—OrinokO—NeroN — RzymianiE — AraraT—
Dziady—WierzyneK—AligatoR — LamY — ErzeruM—
NepoS — RzepaK — OpalińskiI — DzieleniE.

Konrad Walenrod — Sonety Krymskie.

Skrzynka do listów.

P. Iwaszkiewiczowi w Kalniku. Wszystkie żądane Pisma opłacono. Za wysłane ośm numerów Wieczorów przypada nam kop. 80.

P. Świdowej w Podorosku. Prenumerata Wieczorów wraz z kupnem i przesyłką pocztową żądanych książek wynosi rs. 7, że zaś mieliśmy przysłać tylko rs. 6 kop. 70, należy nam się dopłaty kop. 30.

P. Belke w Malinie. „Młody wygnaniec” posłany, kosztuje rs. 1 kop. 50, przesyłka wszakże pocztowa wynosi: kop. 30, więc kop. 10 dopłaciliśmy.

P. Garapichowej w Cebrowie. „Rybak Islandzki” posłany. Kosztuje kop. 60, przesyłka zaś kop. 25. Książeczka „Aniołowie Dobroci” wyczerpana. Za dwa reńskich wzięliśmy rs. 1 kop. 56 pozostało więc u nas reszty: kop. 71.

Kuropatwa z nad Ikopetiu będzie miała w tym roku zadania wszelkiego rodzaju, te jednak, które najlepiej lubi, w tych czasach nie z naszej winy nie mogły być podawane. Wszystkie mile ptaszyny nasze, czy z nad rzek oddalonych czy swojskich, zarówno kochamy i radzibyśmy połączyć w jednym uścisku serdecznym.

Filaretka się myli, takie kochane liściki zawsze są pożądane i przyjemności tylko przysparzają, nie trudu. Pseudonym wolno każdemu zmieniać wedle upodobania. Gołąbka uśmieła się do rozpuku, że ktoś „nie ma śmiałości do niej pisać”, nie spodziewała się być straszna.

Autorom nadesłanych powiastek: „Nieuk; Z prawdziwych wydarzeń”, oraz wierszyka „Kraj”, radzimy, aby się szczerze zabrali do nauki gramatyki, nim zaczną pisać do druku. Pisze się *okrutny* nie *okrótny*. na kominku zaś pali się *ogień*, nie *ogniwo*. innych myłek nie wyliczamy.

Jagódce podolskiej, Kotkowi i Anusi przesyłamy błogosławieństwa ubogich dzieci i uściski od redakcyi.

Azyatki łamigłówek wydrukujemy, szkoda by było, aby daremnie tak długą drogę odbyła.

Niezabudka czeska wybornie zrozumiała myśl przewodnią powieści „Dwie Siostry”. Wielka to radość dla autorki, że kochane czytelniczki tyle jej okazują sympatyj, a wzmianka o modlitwie do łez ją rozrzewniła.

Żywe Srebro, miłe i kochane, rzadko się odzywa, lecz gdy raz się na list zdobędzie, tyle ślicznych rzeczy umie powiedzieć, że się serce raduje.

Kureczka z nad Ikwy ładną kaligrafią pisze, żalowaliśmy tylko, że liścik taki krótki i o dłuższy prosimy. Powieść „Dwie Siostry”, może będzie troszkę za poważna dla takiej młodej Kureczki. Wszystkie polecenia Mamy spełnione.

Amazysowi donosimy, że wszystkie prawie dłuższe powieści z „Wiecz.” wyszły w osobnych książkowych wydaniach, lecz wyliczenie zabrałoby za dużo miejsca. Zadanie konikowe tak porządnie napisane, jak rzadko się zdarza, ale wierszyk wybrany nie do druku.

Don Karlos nie doniósł, jaki miał wprzód pseudonym, jakże więc odgadniemy, które są jego łamigłówek? Spamiętać tego niepodobna.

Litwince i kochanej Szwaczce sześćdziesięcioletniej donosimy, że Gołąbka podziękuje wszystkim ofiarodawczyniom miłym niezadługo.

Kuropatwie z nad Ikopetiu także odpowie i podziękuje Gołąbka.

Kowalczyk jest troszkę zanadto wymagający. Niedosć dla niego, że łamigłówka była drukowana, jeszcze chciałby ją widzieć nie w tym, lecz w innym numerze. Ach, Kowalczyku!

Konradowi Cz. biedna uczennica dzięki zasyła.

Stasię M., nową czytelniczkę, prosimy aby obrała sobie pseudonym i często pisywała, ażebyśmy ją bliżej poznali.

Stokrotka z nad Granicy powinna już wiedzieć, że w naszej redakcyi o długie listki nigdy się nie gniewają.

Tabaka i Cygaro! Po przeczytaniu tych podpisów kichaliśmy z pół godziny, aż tu pod temi pseudonymami ukazują się dawne i miłe znajome; czemuż tak długo milczały?

Jaskółce z nad Sekwany radziłyśmy tak wiele powiedzieć, a tu miejsca tak mało! Ale ona serduszkami odgadnie to, czego braknie w wyrazach.

Amazonka Podlaska sprawi nam wielką przyjemność, a zapewne i innym czytelniczkom naszego Pisma, opisem swój podróży. Prosimy o to, bardzo prosimy.

Kmicic i Oleńka dobrze ułożyli łamigłówki, ale zapomnieli, że do innych korespondentów pisze się na osobnych kartkach.

Utrapienie może pozostać przy tym niezwykłym pseudonymie.

Muszka z nad Teterowa wcale nie jest zapomniana w naszej redakcyi. Po długim milczeniu Muszka ta znacznie wprawiła się w kaligrafię, czego jej winszujemy. Reszta pieniędzy użyta wedle żądania.

Różyczka biała wołyńska, dawna i miła korespondentka, nigdy naprzykrzyć się nie może.

Wilk ze Stepów Chersońskich śliczną kaligrafią pisze, a treść listku jeszcze piękniejsza od liter. 10 rs. użyliśmy według życzenia.

Białośnieżce donosimy, że zeszłoroczne numera „Wieczorów” dostać można po 10 kop. oprócz 1-go. bo ten wyczerpany.

Fala Dniestrowa zanadto miłe wspomnienia pozostawiła w redakcyi, aby mogła być zapomniana.

Dewajtis słusznie mówi, że listków nadchodzi wielkie mnóstwo, ale nadto — nigdy.

Detyna odzywa się znów po długim milczeniu i nie z próżnemi rączkami przybywa. Dzięki Bogu, że okropny wypadek zakończył się szczęśliwie.

Gaska powinna właśnie dowieść w odpowiedzi na zadanie konkursowe, że pseudonym jej jest tylko pseudonymem i pewnie tak robi, znamy tę Gaskę...

Halka z L. chciałaby częściej czytywać w „Wiecz.” o „Pracowni pana Adama”. Cóż to za miła niespodzianka! Nikt jeszcze o Pogadanki naukowe się nie upominał, więc są i tacy!

Stokrotce z nad Stochodu słówkiem tylko za miły listek podziękować możemy dla braku miejsca.

Lilijce z nad Osławy nie bez powodu zapewne zabroniono pieszczoł z pieskami; może ich było za dużo, bo umiarkowane i rozsądne zaszkodzić nie mogą.

Gajówka modra zapomniała adres dodać, a wyszukiwanie dużo kłopotu przyczynia. Gołąbka odpisze obszerniej.

Kochana Biała Różo z kolcem! Ponieważ nie widziałam nigdzie w Wieczorach twego listku, więc piszę do ciebie, zapytując, gdzie mieszkasz, ile masz lat i czy rzeczywiście, jak twój pseudonym mówi, jesteś kolącą osobką? Wieśniaczka.

Kochana Ruto litewska! Oddawna musiałam zimną wodę opuścić i do pokoju się schronić, bo Niemenek już po raz drugi zamarzał. Czy już otrzymałyście nagrody? ja dostałam śliczną zakładkę do książki. Zosię ściskam razem z Dysią i z tobą, twoja Rybka z Niemenka.

P. S. Niezapominajka z nad Horynia przesyła serdeczne pozdrowienia Bławatce z nad Horynia i Lilijce z nad Horynki.

Kochana Palermitanko! Zgadnij kto jestem; widywałyśmy się często w Krakowie u Helci R. Wiem, że masz starszą siostrę Michalinę, braciszka Józia i siostrzyczki Bebé i drugą, której nie znam. Odpisz mi w każdym razie. Twoja Kalinka.

Droga Poziomko kujawska! Chciałabym z tobą korespondować. Napisz mi jak się nazywasz i gdzie mieszkasz. Odpisz prędko twój Kulce śniegowej.

Droga młoda Amazonko! Podobieństwo naszych pseudonymów skłoniło mnie do odezwania się do ciebie przez nasze „Wieczory R.”. Zapewne przez miłość dla koni obrałaś ten pseudonym, jak i ja z resztą. Ogromnie lubię jeździć konno, a szczególnie przeskakiwać rowy. Mam 13 lat i noszę imię matki Jagiellonów, mam dwóch starszych braci, uczących się w gimnazjum w Rydze, młodszy jest jeszcze w domu i ośmioletnią siostrzyczkę. Ja zaś uczę się w domu przy nauczycielce. Donieś mi też coś o sobie o to cię prosi, Amazonka Podlaska.

Droga Jaskółko z nad Sekwany. Miły twój listek powitał mnie na schyłku starego roku szczęśliwą wróżbą, gdyż od dawna pragnęłam korespondować z tobą, droga Jaskółko. Będąc poważną staruszką, cieszyłam się, że i ty nią jesteś. Przyjmij zatem na ten Rok Nowy szczerze życzenia, życzę ci, abys, jako prawdziwa Jaskółka do nas na wiosnę zawitała. Nie omyliłaś się, sądząc, że jestem chętną korespondentką „Wieczorów”, gdyż szczerze jestem do naszego Pisemka przywiązana. A teraz przyjmij, droga Jaskółko, serdeczne pozdrowienie od twojej Czeskiej Niezabudki.

Kochana Brzydotko! Zapewne gniewasz się bardzo, że ci nie odpisałam. Nie myśl, że to przez lekceważenie, ale... trochę trudno wyjaśnić. Otóż powiadasz mi: przyjadę na Święta Bożego Narodzenia, odpisz zaraz. A właśnie nie mogłam odpisać zaraz! Więc pomyślałam sobie, już nie warto listku posyłać, gdyż dojdzie do Grenobli po odejściu Brzydotki. Teraz mi przebacysz? A ja takbym pragnęła cię poznać! Czy jeszcze jesteś w Paryżu? Kiedy wyjedziesz? i... gdzie jesteś? Twoja Jaskółka z nad Sekwany.

Kochana Stokrotko z nad Stochodu. Po przeczytaniu twego miłego listku, z całą przyjemnością donoszę ci, moja miła, że jestem w twoim wieku, więc mam lam 15 i zasyłam tobie i wszystkim Stokrotkom pozdrowienia. Życzliwa Stokrotka z nad Granicy.

Kochana Nino w W. Ponieważ dowiedziałam się z Wieczorów, że i ty jesteś ich czytelniczką, zachęcona tem piszę do ciebie kilka, na imię mi Henryka, uczę się w domu i chociaż osobiście cię nie widziałam, lecz z opowiadania Mamy znam i kocham. Zgadnij, kim jestem i jeśli zechcesz odpisz przez Wieczory twój rówieśniczce i kuzynce Łozince z nad Kresów.

Do „Wróbelka z nad Wisły”. Gdy otrzymałam od ciebie książkę, a spojrzęłam na pieczęcie, pomyślałam, że to są pieniądze. Czy ci się spodobał atlas, który ci ofarowałam? Kameleon.

Najukochańsza Jaskółeczko z nad Sekwany! Ślicznie ci dziękuję, żeś na mój list tak prędko odpowiedziała. Zapytujesz, moja złota, dlaczego wszystkie czytelniczki „W. R.” czują dla ciebie sympatyę? Dla tego cię polubiłyśmy, iż chociaż mieszkasz na obczyźnie, jednak nie zaniedbujesz języka ojczystego, jest to bardzo pięknie z twój strony. Jeżeli chcesz mieć bliższe szczegóły o mnie przeczytaj mój list do Szarzy, drukowany w 52 N-rze. „W. R.” Przesyłam ci serdeczne uściski z małego miasteczka Poleskiego aż do szumnego Paryża. Życzliwa Stokrotka z nad Stochodu.

Kochane Poziomko kujawska i Śmietanko! Z listków twych siostr, miła Śmietanko, pokochałam was serdecznie, a że jesteś najmłodszą, więc zwracam się do ciebie i proszę o prędką odpowiedź. Poziomeczce drogiej dziękuję za serdeczny listek i donoszę, że muzykę bardzo lubię i dosyć dużo gram. Branka litewska mnie zachwyciła, zwłaszcza dla tego, że z nią poznaję obyczaje narodu pośród którego rosnę i który bardzo kocham. Przesyłam wam tyśiączne uściski, życzliwa Halka z L.

Droga Jaskółeczko z nad Sekwany! Bardzo mi się podobałaś z Twoich listów do „Wieczorów” i byłabym ci wdzięczna, gdybyś chciała do mnie pisywać. Ja mieszkam na wsi pod Radomiem, kończę lat 16, nazywam się Janina, mam dwoje starszego rodzeństwa, uczę się w domu przy siostrze, nigdy jeszcze nie wyjeżdżałam za granicę. Napisz mi, Jaskółeczko, czyś kiedy była zagranicą Francyi? Ściska cię serdecznie Dewajtis.